

Opowiadanie

KAROLINA GRODZISKA

Pani Dzikka

Gdyby nie lista obecności, nikt z nas by nie wiedział, jak naprawdę miała na imię: Jadwiga? Janina? Kazimiera? Czy jeszcze inaczej? A było inaczej, bo jej despotyczny dziadek, rodem z Bawarii, wymógł nadanie urodzonej 29 marca dziewczynce imię Diemuth, czyli Diemody, błogosławionej pustelnicy z Westerbrunn, której święto przypadało akurat na ten dzień roku.

Imię Diemuth nosi w sobie coś ze starogermańskich sag; tak mogłaby się nazywać jakaś panna dworska z sagi o Nibelungach albo wierna żona rycerza czy krzepka małżonka płatnerza, przekuwającego legendarny miecz w nową broń. Ale rodzina despotycznego Bawarczyka szybko obdarzyła córeczkę swojsko brzmiącym zdrobnieniem Dzikka, które przylgnęło do okrągłutkiej dziewczynki z jasnymi warkoczycami, potem miłej i roześmianej krępej blondynki. Ponad pół wieku później znaliśmy ją jako krępa starszą panią o stalowych, krótko ściętych włosach, ubraną w wyjątkowo paskudny biblioteczny chałat w liliowe kwiatki na jasnobrązowym tle.

Lata starły też z twarzy pani Dzikki jej uśmiech. Jej niedawno poślubiony mąż nie wrócił z sowieckiej niewoli, a ona sama, z racji niemieckiego imienia i również niemieckiego brzmienia nazwiska panińskiego swej matki, parokrotnie podczas okupacji nakłaniana była do podpisania volkslisty. Ze zdumieniem dowiedzieliśmy się, że była inspiratorką udanej, wręcz brawurowej ucieczki

swojej i dwóch innych kobiet z transportu do więzienia niemieckiego w Wiśniczu.

Błogosławiona bawarska patronka była osobą niebanalną i może to jej imię wywarło jednak na panią Dzikę wpływ? Diemuth żyła na początku XII wieku, była pustelnicą i przepisywała manuskrypty. Mieszkanie w pustelni i praca kopistki raczej nie idą w parze, pewnie żyła w odosobnieniu w klasztorze. Umiejętność czytania i pisania świadczy o jej wysokim pochodzeniu. Może pokierowała panią Dzikę do pracy bibliotecznej?

Wielu z nas hołubi ciche marzenia o niezwykłych odkryciach, a biografie odkrywców podrywają nas do marzeń. Nowe lądy i wyspy, cieśniny i przełęcz, pragnienie odkopania starych cywilizacji i ich miast, odkrycia nieznanymi nauce mgławic czy planet, spotkania Yeti i Wielkiej Stopy... Rozumieliśmy to doskonale, choć obiekty naszych bibliotecznych marzeń były skromniejsze i nie tak spektakularne, to nie umniejszało siły owych marzeń. Wiedzieliśmy, że pan Józef marzy o odkryciu nieznanego nauce dokumentu króla Władysława Jagiełły, Stefana Batorego lub Jana III Sobieskiego, bo do tych wojennych królów miał ogromny szacunek. Pan Alojzy, polonista, nie tracił nadziei, że dzieło zniszczenia dokonane przez Władysława Mickiewicza nie było aż tak skuteczne i że odnajdzie nieznaną światu tekst mistrza Adama, przez jego syna uznany za niegodny zachowania i pamięci. Młodziutka

Karolina Grodziska

Ptaszy ludzie i inne opowiadania



Wiedza je na czerwoną nitkę, a wiedza ma swój
niegłęboki, od dnia do dnia. Kiedy już w jej wnętrzu
wymyślono się samego (co pokolenie, co miesiąc
kupim!), wtedy właśnie i wtedy właśnie wtedy się
na wszystko odważ, wiedza, wiedza do śmierci
kierunków, może nieznanych, dawać dar: szorstki, gruby,
ciemny, lodowy, ze wnętrza wypiękocenia, popiołowego,
wład, drabim, wielkimi, pfitkami, klasztorami, z trudem
wzrostem, sypkimi, jak zapach i odrywa, - na pewno
tam, gdzie smoc, a w końcu, z wielkimi, wielkimi
lodzi. Wiedza na niebies, a niebies, niebies, a niebies,
wład, wiedza, wiedza, wiedza, wiedza, wiedza, wiedza,
wład, wiedza, wiedza, wiedza, wiedza, wiedza, wiedza.

Karolina Grodziska

Ptaszy ludzie i inne opowiadania,

Wydawnictwo Austeria, Kraków 2021

polonistka, błękitnooka pani Ewa, admiratorka poezji Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, spędziła sporą część swych wakacji w Anglii na poszukiwaniu w manchesterskich antykwariatach jakiegoś odprysku spuścizny poetki, który mógł tam trafić po śmierci Stefana Jasnorzewskiego, tak dbałego o pamięć żony. W jej marzeniach ów niewielki, oprawny w liliowy jedwabik notes z nieznanymi wierszami „czarodziejskiej pani z Krakowa” po prostu gdzieś tam na nią właśnie czekał. Pan Michał, znawca i miłośnik starodruków, wciąż wierzył, że ten czy inny inkunabuł po prostu nie mógł spłonąć w Warszawie w 1944 roku...

Tacy byliśmy, niedoszli odkrywcy rękopiśmiennych skarbów. Nasze odkrycia były dużo mniej spektakularne, ale marzenia tylko trochę blakły w miarę upływu czasu. A w sąsiednim dziale, w pokoju po drugiej stronie korytarza, niezmordowanie katalogowała książki pani Dzikka, wiecznym piórem wypisując setki perfekcyjnych kart katalogowych. Po pracy wracała do swego niedużego mieszkanka, gdzie też siadała do biurka, pisząc do późnej nocy. Nie była jednak sama, bo za nią, mówiąc, szepcząc, krzycząc i debatując, tłoczyli się szekspirowscy królowie i hrabiowie, w lśniących zbrojach lub lekkich półpancerzach, płaszczach bramowanych futrem, aksamitnych i skórzanych kubrakach, złotych łańcuchach i koronach. Całe bogactwo portretów Holbeina i całe bogactwo wyobraźni Szekspira pani Dzikka przelewała swoim wiecznym piórem na niezliczone arkusze papieru kancelaryjnego w kratkę...

Pamiętam doskonale, jak na pewnym długim, popołudniowym dyżurze, gdy nie pojawił się żaden czytelnik, raz coś powiedziała o swoim pisaniu. Swoim, ale nie tylko, bo ona ich wszystkich słyszała, skąd by to mogła wszystko wiedzieć, to oni stawali za jej plecami, szepcząc, krzycząc, dyktując, nalegając, by ich wysłuchała i zapisała prawdziwe świadectwo ich myśli i czynów. Okrągłutka pani Dzikka o błękitnych oczach małej dziewczynki, w swoim szarym, szytym na miarę żakiecie, a za nią stojący murem barwny kwiat rycerstwa angielskiego wojny Dwóch Róż, ci Lancasterowie i Yorkowie, i Tudorowie z kart Szekspira i ze sceny teatru...

Żałuję, bardzo żałuję, że przynajmniej nie próbowałam bliżej poznać pani Dzikki ani nie poprosiłam wtedy o jej tekst. Odpowiednia chwila minęła, następnej takiej rozmowy nie było. Dzielilo nas prawie czterdzieści lat, pracowałyśmy w innych działach Biblioteki, na różnych piętrach. Potem ja pisałam doktorat, a pani Dzikka przeszła na emeryturę. Jeszcze przychodziła do nas,

wypożyczała książki, umawiała się z koleżankami z działu. A potem wyjechała z Krakowa na stałe do rodziny pod Gdańsk, a po latach nadeszła wiadomość, że zmarła. Nikt z nas na pogrzeb do Gdańska nie pojechał, żegnaliśmy ją tylko prasowym nekrologiem.

A potem przyszła paczka z papierami pani Dzikki. Czy to jej decyzja, czy kogoś z rodziny, dość, że spore tekturowe pudło dotarło pocztą do Biblioteki. Zawartość? Najkrócej ujmując – zapis jednego skromnego życia i dziesiątków królewskich, szekspirańskich snów... To jedno życie to były jej szkolne świadectwa, indeks, papiery z pracy, kombatanckie – wtedy dopiero dowiedzieliśmy się o tej brawurowej ucieczce z Wiśnicza, papiery z ZUS-u, dwie czy trzy książeczki orderowe. To drugie życie to było sześć teczek rękopisów: „Kroniki Królów” spisane na papierze kancelaryjnym w kratkę, tym jej pięknym, kaligraficznym pismem, które wciąż spotykamy na tysiącach kart bibliotecznego katalogu.

Odległe echo tamtej rozmowy kołatało we mnie, więc zanim całość spuścizny powędrowała do działu rękopisów, zaprosiłam zaprzyjaźnionego profesora, historyka literatury, do obejrzenia tekstów pani Dzikki. Spóźniony żal, przedwczesna nadzieja...

– Niestety, to nie ma specjalnej wartości – podsumował profesor. – To jest wzruszające. Ona pisze Szekspirem, i to starymi tłumaczeniami: Ulricha, Paszkowskiego, ba, nawet Koźmiana. Nie było jeszcze przekładów Słomczyńskiego, Sity czy Barańczaka.

– I ta jej sztuka?

– To raczej powieść niż sztuka, na scenę nie bardzo. Rozciągnięte w czasie, niespójne, jakby kilka postaci na pierwszym planie, przeskakuje od jednej do drugiej. Ci jej bohaterowie to się tam rozpychają jeden przed drugim.

To brzmiało ciekawie.

– Coś się da z tym zrobić? Zamierzałam choćby kawałek dać, w rameczce, tak, żeby ślad po jej pisaniu pozostał.

Profesor zamachał energicznie rękami.

– Nie, nie! To się nie uda. To ją może postawić w złym świetle. Ale panią Dzikkę i tak wszyscy zapamiętają – dodał tajemniczo, wyjmując z teczki starannie opakowaną w bezkwasową kopertę kartę, fragment jakiegoś starodruku. Karta musiała być nadpalona, potem osuszona. Była wyblakła. W jednym

z rogów nadpisano ołówkiem cenę i numer, taki charakterystyczny antykwariatowy zapis sprzed lat, wysoka cyfra łamana przez datę roczną:1949.

– Mówiła pani, że ona pochodziła z Gdańska?

– Nie, nie z Gdańska. Tam po wojnie osiadła jej rodzina, ekspatriowana z Kresów. Ona okupację przeżyła tutaj. Ale po wojnie jeździła tam często, nawet szukała w Gdańsku pracy.

– No, to może wtedy to kupiła w jakimś antykwariacie. Ciekawe, czy zdawała sobie sprawę z tego, co ma? – z pietyzmem dotknął wyszarzałej karty. – Bo to jest, proszę pani, Szekspir, z całą pewnością Szekspir!

Nie rozumiałam jego wzruszenia. Jedna karta, z jednego starodruku... Ileż wydań musiały mieć dramaty Szekspira od XVI po XIX wiek? Dziesiątki? Setki? Umknął mi fragment jego tyrady.

– Nad tą jedną kartą spędziłem więcej czasu niż nad tamtym opus – machnął w stronę teczek z rękopisem pani Dzikki. – To było w środku. Zakładka? Pamiątka? W Gdańsku tyle zniszczeń było. Ale szybko zaczęto zwozić tam księgozbiory z klasztorów czy z pałaców pruskich. Wielkie, stare zbiory, nieraz bardzo cenne. Ale tej karty to nie ma ani Gdańsk, ani nikt na świecie!

– Tak?

– To najprawdziwszy skarb, ta karta! Może cudem ocalały inne? Trzeba szukać, choć z małą szansą. – Już był myślami w Gdańsku, już szukał tamtego antykwariatu i jego starych rejestrów. – To proszę sfotografować, broń Boże kserować! I do konserwacji, i może wcześniej ubezpieczyć! – rozpędzał się, poruszony jak odkrywca nieznanego lądu czy zaginionej cywilizacji, a ja ciągle nie rozumiałam jego zachwyty.

– Bo to jest karta z zaginionej sztuki Szekspira! To *Cardenno*, czyli *Kardenio*, wystawiona w 1613 roku. Była drukowana, ale nie zachował się żaden egzemplarz. Potem wystawiono ją dopiero w 1727 z rękopisu suflera. A ten rękopis to spłonął w 1808 w pożarze Covent Garden!

– Więc skąd...?

– Treść? Treść częściowo znamy, to niezwykle! Bo Szekspir pożyczył sobie historię Kardenia od Cervantesa! – profesor mówił teraz samymi wykrzyknikami. – Szlachcic Kardenio, wpędzony w biedę i niemal obłąd przez złego sąsiada, Don Ferdynanda! Spotyka go Don Kichote i pomaga! To jest takie niezwykle i nadzwyczajne, ta szuka, bo to i Cervantes, i Szekspir! Nawet nie wiadomo, czy

Cervantes wiedział, że Szekspir wziął ten wątek! Nadzwyczajne! A obaj zmarli bodaj tego samego dnia, 23 kwietnia 1616!

* * *

Tak, to było niezwykle i nadzwyczajne, choć profesor tego nie wiedział. Może mijął na korytarzu Biblioteki niepozorną bibliotekarkę w szarym swetrze lub okropnym liliowo-burym chałacie, ale nie znał przecież pani Dzikki, w której wyobraźni stali za nią i opowiadali swe historie zakuci w srebrne zbroje, strojni w futra i aksamity królowie, baronowie i rycerze. Pani Dzikki, na której biurku, jak zakładka czy pamiątka, leżała przez dziesiątki lat nierozpoznana karta zaginionej sztuki Szekspira...